

Rozdział pierwszy

Autokar przyhamował i ciężko sapnęły pneumatyczne drzwi. Rozespanemu Pawłowi nie chciało się wysiadać. Przecisnęli się obok niego turyści z zachodnich Niemiec i owiał go podniecający zapach perfum Gertrudy, za którą ciągnął niby cień dobrze umięśniony chłopak, przypominający gladiatora. Na krótką chwilę skupił uwagę na jej opalonych ramionach i niepokojąco rysujących się pod obcisłą spódniczką kształtnych biodrach i pośladkach. Co tu dużo mówić: ta laska była seksy. Ale nie dla niego. Potem z powrotem opadła mu głowa. Omal nie przyrósł do miękkiego wygodnego fotela i w nim nie zatonął, kryjąc twarz za zasłonką w kwiaty. Stojąca na palcach Anka niespokojnie stuknęła kluczem w panoramiczną szybę. Zamiast na dziewczynę spojrzął niewidzącym wzrokiem na znaczącą się na skraju parkingu samotną sykomorę, a potem na przygasłe okoliczne wzgórza.

— Idziemy — niecierpliwie zawołała. — Rusz się, ofermo, na co czekasz! — Miała na sobie białe szorty i obiecująco podkreślającą jej urodę obcisłą bawełnianą bluzeczkę w kolorowe pasy. Równo przycięte utlenione włosy przewięzała czerwoną wstążką. Burleskowy kapelusik z rzędu tych, które nadawały się na wszelkie okazje, trzymała w ręce. — No, nie udawaj, debilu, że śpisz! — dorzuciła ponagląjąco. Pozwalała sobie na takie odzywki, bowiem doskonale wiedziała, że nikt w tym mieszanym towarzystwie, poza nią i jej chłopcem, nie zna polskiego. Mogła sobie używać do woli.

Przy kierowcy stała, nie umiejąca ukryć odrobiny sklerozy, starszka z czeskiej Pragi. Ta dama zawdzięczała swą popularność manierom sprzed przeszło półwiecza. Wieczorami do letniej sukienki zarzucała na ramiona srebrnego lisa. Zapewne tłumaczyła wychudłemu Arabowi, który pełnił również rolę ich przewodnika, znawcy zabytków Palestyny, że za szybko prowadzi autokar

z turystami. He, he!.. Sama była ponoć zapaloną miłośniczką jazdy na rowerze. Paweł przeciągnął się, rad, że nikt na niego nie patrzy. Zaraz jednak poczuł dziwne ssanie w żołądku. Nigdy wcześniej nie cierpiał na chorobę morską, więc nie pojmował, skąd biorą się te sensacje. „Stan zapalny w układzie pokarmowym? He? W tropikach to możliwe!” Mignął mu przed oczyma biały lekarski fartuch matki. Kolana pod nim się ugięły i prawie pijany wysiadł z autokaru. Głęboko odetchnął, raz i drugi, opierając się o rozgrzaną słońcem karoserię, żeby nie stracić równowagi. Zamknęły się z sykiem pneumatyczne drzwi. Sapnęły jakby mu współczując — i one bowiem musiały znosić nienaturalnie wysoką temperaturę.

Anka ironicznie się uśmiechnęła, widząc jego pobladłą twarz. Mimo spiekoty nie traciła rezonu.

— Kończysz się, połamańcu — palnęła zaczepnie. Potem ujęła chłopaka pod ramię i zdecydowanie pchnęła go przed siebie. — Lecz nim wykorkujesz, musisz jeszcze tam dojść — wskazała budowlę, mieszczącą się na najbliższym wzgórzu i pamiętającą odległe czasy podbojów arabskich. — W tamtych murach jest chłodniej niż tu...

Przymrużył oczy i z niesmakiem zerknął pod górę. Utwardzona ścieżka pięła się łagodnymi zakolami.

— To prawie pół kilometra — nieudolnie próbował się bronić. Parsknęła śmiechem.

— Też mi turysta, wisi na ścianie i płacze — obrzuciła krytycznym wzrokiem jego szczupłą i wysportowaną sylwetkę. — Bez plecaka mógłbyś właściwie pognać na skrót. A cóż to dla ciebie? Raz, dwa, trzy...

— Nie mam na to najmniejszej ochoty — miauknęła załośnie. Nie był na zalesionych zboczach Beskidu Sądeckiego, gdzie czuł się prawie jak u siebie w domu. — Sama sobie skróć drogę, cwaniaro!

Wycelował w dziewczynę palcem i ta mimowolnie odskoczyła do tyłu. Znowu z perfidią zachichotała. Od pewnego czasu wprost przepadała za złośliwościami.

— Niestety, wolę pójść z nimi — wskazała głową grupę, która ruszyła już z miejsca. — Przynajmniej są zdyscyplinowani. Nie tak,

jak ty.

Doszlusowała do chudego Araba, który rzucił kilka zdań po angielsku. Paweł poszedł w jej ślady, zaraz jednak znalazł się z tyłu. Wlókł się na ostatku, zadowolony z tego, że nikt się nie zatrzymuje i nie odwraca, by uciąć sobie pogawędkę z maruderem. Nie musiał więc kabotyńsko się uśmiechać i silić na uprzejmości. Kiedy dotarł do murów budowli, inni byli już w środku. Nie chciało mu się tam wchodzić. Znalazł cichą wnękę i skryty przed słońcem przysiadł na schodach, które kończyły się przed zamurowanym przejściem. Wyglądało ono jak wrota do zapomnianego skarbcza, strzegącego zazdrośnie pradawnych tajemnic. Przymknął powieki i oczyma wyobraźni ujrzał coca-colę w pojemniku z lodem. Uśmiechnął się do niej jak ossek do butelki z mlekiem. Zapadał w odrętwienie.

Błąkała mu się po głowie natrętna myśl, że zamurowane przejście za chwilę z hukiem pęknie, a zza zmurszałej ściany wypadnie wprost na niego wydający groźne okrzyki wojowniczy Arab z krzywą szablą w ręku i zawojem na głowie. Anka jakoś nie zauważyła tego, że się zgubił. Gdyby się spostrzegła, wróciłaby w te pędy, aby go odnaleźć, postawić na nogi i pobudzić do życia przy pomocy kolejnych impertynencji. Ledwo słyszalny głos przewodnika już dawno rozmył się w grubych murach. Chłopak więc ostatecznie zrezygnował z oglądania zabytkowych wnętrz, uznając, że najlepiej zrobi, jeśli leniwie poczeka na pozostałych. Wcześniej czy później musieli wychodzić tą samą drogą. W cieniu było przyjemnie, nie musiał się wysilać, udawać zainteresowania pobladłymi freskami i wsłuchiwać w kwieciste wywody pilotującego ich Palestyńczyka. Nie miał na nic ochoty.

Przeniósł się myślami na okoloną wikliną żółtą plażę nad Wisłą, gdzie poznał skromniutką dziewczynę w bikini, usiłującą nieporadnie upleść koszyk z giętkich patyków. Zaprzyjaźnił się z nią, oboje byli z Warszawy, spotykali się i szybko przyzwyczaili do siebie. Wybrali się razem do Francji, zwiedzili Paryż i Awinion, zaś kolejnego lata dzięki korzystnemu zbiegowi okoliczności mogli polecieć do Izraela. Liczył na to, że ta pielgrzymka dostarczy mu ogromu wrażeń, ale się zawiódł. Ścinał go z nóg ten nieznośny żar,

przytępiający zmysły i odbierający ochotę do życia. W Ziemi świętej dziewczyna nieoczekiwanie zhardziała, przejmując inicjatywę i spychając go do roli drugich skrzypiec, co momentami wyprowadzało go z równowagi. Siedział na stopniach ocienionych schodów — poniżej zamurowanego przejścia, zza którego nie wyłonił się żaden wojowniczy mahometanin z okrzykiem na ustach — i dochodził do zaskakującego wniosku, że nie przepada za włóczęgą po świecie. Nie miał zadatków na globtrotera. Podróże były może zajmujące, ale męczące. Zmagał się z opadającymi mu jak na komendę piekącymi powiekami, oczyma wyobraźni przenosząc się do kraju na Mazury. Widział siebie skurczonego w łódce na jeziorze z wędką w rękach i kontemplującego w samotności zachód słońca. Łatwiej było znieść kłujące komary niż tę rozgrzaną nieomal do czerwoności tropikalną patelnię.

Kiedy się ocknął, było już ciemno i targał nim chłód. Przerażony zerwał się na równe nogi, nie pojmując, co się stało. Zwiezdający wyszli zapewne z zabytkowej budowli innym wyjściem, gdzieś z tyłu obiektu, nie zauważając i pozostawiając marudera.

— A to ci heca. Ani chybi, wykiwali mnie, co za pacany — mruknął. — Jest tu ktoś?! — krzyknął, zwijając dłonie w trąbkę.

Echo głucho odpowiedziało. W okolonym murem prostokącie rysowało się gwiazdziste niebo. Nikogo o tej porze nie było na szczycie wzgórza. Jak ślepiec z wyciągniętymi rękami ruszył do przodu, obsuwając się na ostatnim stopniu. Przed budowlą było nieco widniej. Nie oglądał się za siebie, bo w zabytkowym obiekcie pewnie już straszycie. Gwiazdy przyjaźnie mrugały, a asfaltowa droga opadała zakolami w kierunku parkingu. W oddali rysowała się niewyraźnie nitka szosy i dostrzegł światła dwóch samochodów. Bez namysłu poszedł na skrót po zboczu, niepokojąc się tylko, czy przypadkiem nie nadeptnie na skorpiona, jadowitego węża lub na coś innego, równie groźnego. Licho nie spało. Potknął się na niewidocznym kamieniu i wywinął kilka koziołków, lądując się na wystającej skale.

Tamci szli cicho, niby cienie — i gdyby nie ten niefortunny upadek, chyba by ich nie dostrzegł. Zaaferowani własnymi sprawami,

zdawali się nie przejmować obecnością kogoś, kto nie należał do ich świata, zapewne niepospolitego, nadzwyczajnego i niespotykanego. W pierwszej chwili wziął ich za Żydów z jakiegoś pobliskiego kibucu lub za Palestyńczyków z ruchu oporu. Nie mieli przy sobie broni. Mistrz otwierał pochód, krocząc z godnością i bez pośpiechu. Emanował czymś szczególnym i wyjątkowym, z czym Paweł dotąd się nie zetknął. Zwracał uwagę na ścieżkę i podnosił brzeg długiej szaty, odsłaniając stopy obute w skórzane sandały.

Chłopak z Warszawy liczył nocnych piechurów, jednego za drugim.

— Hej, hej! — zawołał ściszym głosem za ostatnim, najmłodszym, który był dwunasty lub trzynasty w ciągnącym się sznurze, nie mając wszakże pewności, czy kruczowłosa pielgrzym w jego wieku, o ile się zatrzyma, zrozumie rzucone po angielsku pytanie.

Idący ścieżką obejrzał się, ale Pawła nie dostrzegł, bądź też nie chciał dostrzec. Przyspieszył kroku, ignorując obecność intruza o lnianej czuprynie, wyglądającego zza opoki. W ciemności jego sylwetka zlała się z pozostałymi, tworząc gasnącą plamę.

Paweł obejrzał brudne dłonie, podniósł się i syknął, gdyż zapiekły go kolana. Musiał je przemyć jodyną lub wodą utlenioną. Rozejrzał się za ścieżką, którą przeszli nieznajomi, w pierwszym odruchu chcąc iść za nimi, ale już jej nie wyłowił z mroku. Nie pozostawili po sobie żadnego widocznego śladu. Teren poniżej skały był porośnięty gęstą trawą, ponad którą znaczyły się wyschnięte krzewy z kłującymi kolcami.

Zaklął z cicha, nie kryjąc zdumienia. Był wstrząśnięty i stopniowo sobie uzmysławiał, że zetknął się z czymś niecodziennym. — Co to było?! — półszepnął do swoich myśli. — Czyżby jakieś osobliwe zjawy i widziadła zamieszkiwały to opuszczone wzgórze?

Poczuł mrowienie w krzyżach. Machinalnie się przeżegnał, chcąc odegnać czary. Tak czynili od wieków jego przodkowie, święcie wierzący w skuteczność świętych znaków i mylący magię z religią. Ruszył w dół po zboczu, nie chcąc już nikogo więcej spotkać.